Niezależna Telewizja Vis á Vis

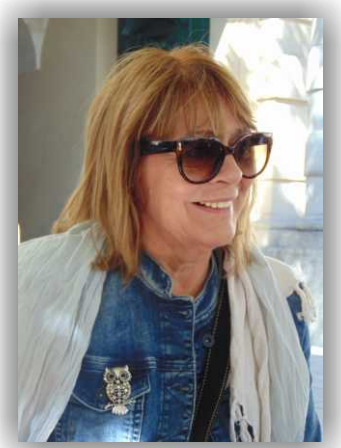

fot: W. Morek, B. Kucharek

fot. B. Kucharek

I po remoncie...

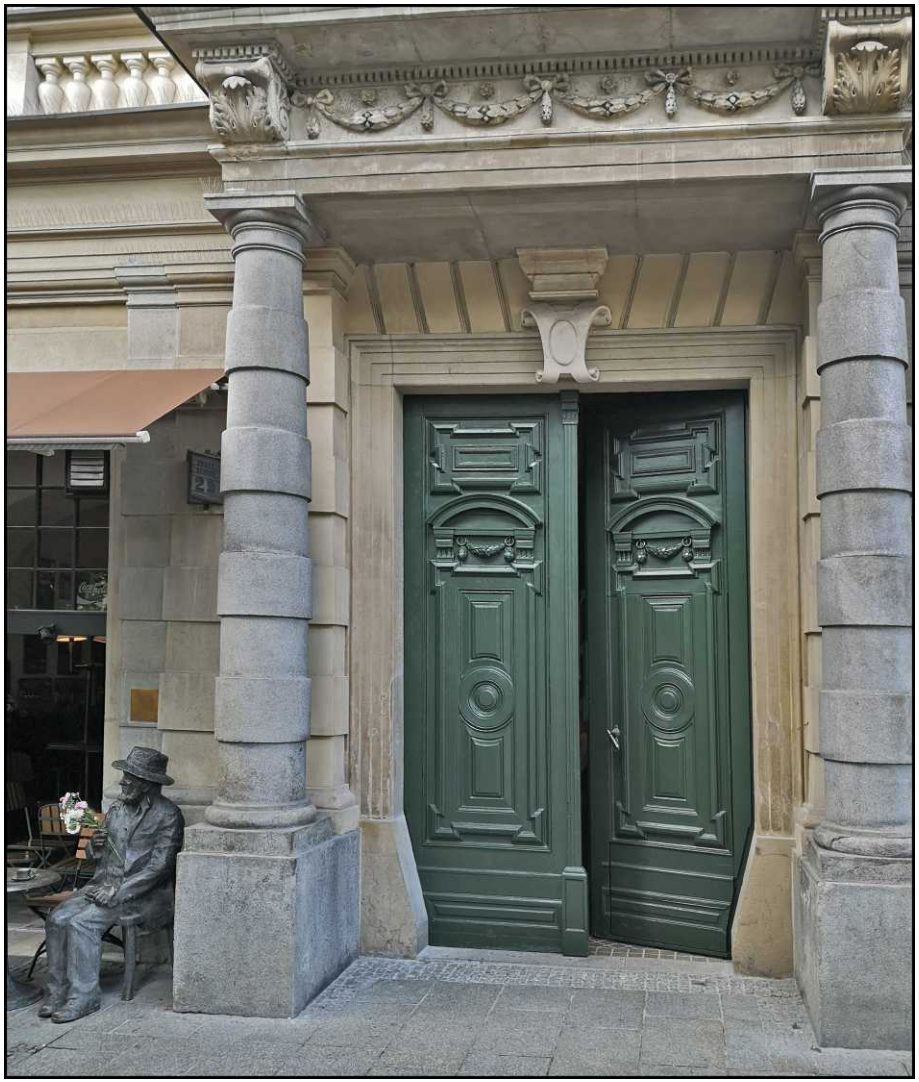

fot: B. Zimowski

Andrzej Sikorowski

OKNO NA PLANTY (88)

Jesień życia

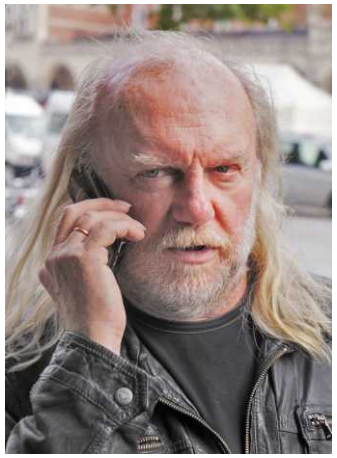

fot: B. Zimowski

To nie ta kolorowa każdego roku pora pokrywająca liście pastelową kredką. Ona ustępuje miejsca zimie, później wiośnie niosącej nadzieję na dalszy ciąg. Jesień życia takiego odrodzenia nie zapowiada, zmierzając w jednym tylko kierunku. Powyższa refleksja pojawia się, bowiem kończę za kilka dni 70 lat, zatem przekraczam umowną rzecz jasna granicę za którą starość nie radość. Być może inni wytyczą ją w innym miejscu, sporu w tej materii nie podejmę. Za to poszukam radosnych aspektów siedemdziesiątki.
Otóż 10 października wsiądę z piersiówką napełnioną jakimś miłym płynem do dowolnego środka miejskiej komunikacji i będę krążył bez celu zamieniając tramwaj na autobus, ciesząc się nie darmowym przejazdem, tylko brakiem obowiązku szperania w portmonetce by znaleźć drobne i zdążyć z całą operacją przed „kanarem“, lub stawać wobec anonsu że opłata możliwa jedynie za pomocą karty. Tej ostatniej nie posiadam prócz kartek otrzymanych od żony, na szczęście tylko w kolorze żółtym.
A po wycieczce udam się na drinka bo piersiówka wnet będzie pusta. Jeśli do Zwisu nie wpadnę to zadzwonię z życzeniami do Pani Magdy i Piotra Ferstera także urodzonych 10 października, jeno później ździebko, by opowiedzieć im o wesołym życiu staruszka.

fot. M. Michalak

Andrzej Zaucha

**Dnia 10 października br. minie dwadzieścia osiem lat od tragicznej śmierci wielkiego artysty - Andrzeja Zauchy.
Był wokalistą rhythm-and-bluesowym i jazzowo-popowym. Dokonał licznych nagrań płytowych do filmów i seriali, oraz dla archiwum Polskiego Radia.**

Jan Nowicki

fot. B. Kucharek

JESTEŚMY cz. 2

**Jesteś miła
W geście, czynach.
W dniu bez końca,
Co przemija.**

**Moje palce,
Które zwijasz
W niecierpliwą,
Gęstą sieć.**

**Proś do tańca
W rytmie walca!
Mego ciała
Twoją część.**

**Jesteś światło
Niegasnące!
Jesteś kwiatem
Co na łące**

**Kwitnie jeden
Na co więcej?
Gdy raz tylko
PŁONIE SERCE!**

**Potrąć skrzydłem - albo więcej:
Skalecz wargi, bo bez skargi
Wiem już - jak znieczulać ból
Jesteś moja! Jestem twój!**

**Tul w ramionach - albo więcej:
Weź na zawsze głupie serce.
Przedzieliłaś je na... pół
Jestem twoja! Jesteś mój!**

z tomiku: „Piosenki czasem wiersze” . Wydawnictwo Oficyna Jana. Za zgodą autora.

*Dla Pana Jana Nowickiego.
Najlepsze życzenia z okazji 80-tej rocznicy urodzin,
składa Redakcja i Czytelnicy „Gazetki”.*

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

KRAKÓW

Nr 09 (178) Wrzesień 2019

Ewa Kozakiewiczowa

Kawiarniana „silva rerum”

Gazetki wydawane w kultowych knajpkach Krakowa: w drink barze Vis a Vis na Rynku Głównym i w Rio przy ulicy św. Jana, są w Polsce ewenementem.

To lektura, od której trudno się oderwać, szczególnie jeśli jest się bywalcem tych przybytków.

A do tych miejsc przychodzi cały Kraków. Artystyczny. Wysiadywanie w knajpach jest wszak przypadłością krakowską, z której śmieją się szczególnie warszawiacy wywodzący się z... Krakowa. Maciej Stuhr, obecnie warszawiak, napisał o tym skecz będący swego czasu przebojem YouTube. - Siedzimy! Nic się nie dzieje! - relacjonuje przez telefon jeden koleś drugiemu. - Piwko se pijemy! Nuda! Nic się nie dzieje! Cały czas gadamy! O czym? O niczym! Ale przyjemnie jest! Andrzej Sikorowski mówi, że to rytuał krakowski. - To, że akurat lubię tam przychodzić, wynika z chemii miejsca; jestem krakusem z dziada pradziada, a Rynek Główny to część mojego życia, tu czuję się u siebie - mówi. -Kiedy mam czas, lubię posiedzieć w „Zwisie” w południe, wypić herbatę z sokiem malinowym, zjeść obwarzanka i popatrzeć na Rynek - opowiada Sikorowski. Z tego wysiadywania w „Zwisie” oprócz piosenek powstają felietony w stałej rubryce „Okno na Planty”, gazetki kawiarnianej „Vis a Vis”. Podobnie jak Piotr Skrzynecki, który myślał, że zakładany przez niego w piwnicy kabaret przetrwa rok, może dwa, Bogusław Kucharek, emerytowany nauczyciel geografii, entuzjasta górskich wędrówek i były działacz studencki, kiedy porywał się na wydawanie gazetki „Vis a Vis”, myślał, że będzie to zabawa na chwilę, no, może rok... Wspierał go w tym nieżyjący już Adam „Bobs” Marczek i w kwietniu 2007 roku wydali jednokartkowy, w formacie A-4, pierwszy numer. Gazeta „Vis a Vis” wydawana jest co miesiąc już jedenaście lat, a w dziesięciolecie jej istnienia Kucharek otrzymał z rąk prezydenta Jacka Majchrowskiego medal Honoris Gratia. Gazeta ma formę papierową (nakład 150 egz.), jest prenumerowana nie tylko przez wybitne osobistości, ale zwykłych fanów mieszkających w Białymstoku, Gdańsku czy też Melbourne i Chicago.

Formę elektroniczną rozpowszechniają i prowadzą jej archiwum entuzjaści z Grodziska Mazowieckiego! (www.visavis.altavista.org). We wstępniaku pierwszego numeru nie było zadęcia. „Całkiem »Zwisowe« pismo »Vis a vis« tylko nasze... tylko dla i tylko o ludziach

związanych z tym magicznym czasem wspólnych przeżyć... rozmów, uśmiechów”. Redaktorzy namawiali do współpracy: „Kochani, liczymy na waszą pomoc! Notujcie w głowach anegdoty, piszcie wiersze i opowiadania. (...)

Mamy nadzieję, że włączycie się do zabawy”. No i udało się! W pierwszym numerze pojawił się tekst Andrzeja Warchała Zagęszczenie, wiersze Andrzeja Warzechy, Adama Marczka, Ryszarda Szocińskiego i Marka Wawrzyńskiego, barmana-poety (wydał osiem tomików poezji), który uważa, że „Vis a Vis” jest jak wszechświat.

Na ostatniej stronie zagnieździła się „Telewizja Vis a Vis” - zdjęcia artystów w ich kawiarnianym otoczeniu. Przekonali się i inni twórcy, bywalcy drink-baru w kamienicy Pod Blachą. Już w drugim numerze publikował Jan Nowicki! Duch Piwnicy Pod Baranami unosi się nad wszelkimi poczynaniami ludzi, którzy przebywają w pobliżu pomnika Skrzyneckiego, postawionego tuż przed witryną „Zwisu”. Obecnie „Vis a Vis” liczy 14 stron i ma formę zgrabnego zeszyciku formatu A-5, a o jakości pisma choćby świadczy korekta. Zajmuje się nią sam prof. Zbigniew Bajka, wybitny prasoznawca, który od czasu do czasu gości na łamach pisemka. „Vis a Vis” dorobiła się grona stałych felietonistów, a nawet korespondenta zagranicznego. Jest nim Ladislav Volko, prezydent słowackiego Pen Clubu, który regularnie pisuje „Liściki z Bratysławy”. Andrzej Matusiak z pasją zawłaszczył rubrykę „Mój dawny Kraków. Miasto i ludzie, wydarzenia na starej pocztówce i fotografii oraz wspomnieniach”. Lesław Pizło pisuje o dawnej fotografii, Marek Michalak o jazzie i anegdotach związanych z koncertami. Krzysztof Miklaszewski o Kantorze, Kazimierz Wiśniak o Skrzyneckim, nieżyjący już Antoni Potoczek wspominał Andrzeja „Wuja” Potoka. Gawędy o modzie regularnie snuje Jerzy Antkowiak, projektant i stylista Mody Polskiej, ubarwiając je własnymi rysunkami, ostatnio pojawiły się teksty Jacka Kleyffa, legendy polskiej piosenki niezależnej. Jest dużo poezji: Andrzeja Warzechy, Adama Ziemiania, Adama Kawy, Jacka Lubarta-Krzysicy czy Ignacego Stanisława Fiuta i innych. Można tak wybitnych autorów i ich publikacje wymieniać bez końca. Zdjęciami zajmuje się Henryk Tomasz Kaiser, sekunduje mu Jacek Maria Stokłosa, ma tu też swój kąt Iwona Siwek-Front, rysująca historie nieczyste „Baby lukrowanej”. Łamy gazetki nie przyjmują banału: mamy filozoficzne refleksje nad życiem, czasem wspomnienia o wybitnych ludziach, którzy już odeszli, a poziom publikacji zawsze jest wysoki.

No i mamy jesień. Liście zmieniają swoje barwy i opadają w feerii kolorów, unosząc się z babim latem. Dni coraz krótsze, pogoda kapryśna, słońca coraz mniej. Zagraniczni bywalcy naszej sławnej kawiarenki, niczym wędrowne ptaki, wracają do swoich krajów, a krakowscy Zwisowicze zjawiają się z bliższych i dalszych wojaży z bagażem wspomnień, przeżyć i komórkowych fotografii. Nam, tubylczym fanom Zwisu, pozostaje przenieść się od stolików pod parasolami i akacją do wnętrza naszej przystani i już przez szyby spoglądać na Rynek z Mitorajową głową Erosa Spętanego i coraz bardziej odzianych tekstylnie, przechodniów płci obojga. I tak, oby do słonecznej wiosny. AM w miejsce AD

Jerzy Antkowiak

Piękny i nieczuły...

fot. B. Kucharek

Kto piękny, kto nieczuły, czy może, co piękne, a przy okazji nieczułe? Trochę, co i trochę kto, bowiem „co” – to zupełnie niematerialne zjawisko, natomiast, „kto”?, to jednak jest jakiś „on”. On, czyli… SIERPIEŃ. Tak jest, trochę zagmatwane te moje sierpniowe przemyślenia, ale z miesiącem o dźwięcznej nazwie Sierpień zawsze miałem na pieńku. Sierpień od początku mojej pamięci zwiastował przysłowiową ciszę przed burzą. 26 lipca 1944 r. ostatni raz w życiu widziałem moją Mamę, która mówiła do mnie „albo zostajesz ze mną w Warszawie, bo tu w sierpniu coś się będzie działo, albo wracasz z ciotką do Mińska”. Miałem dziewięć lat, wróciłem, potem oglądaliśmy czerwone łuny nad płonącą Warszawą.

Oczywiście PIĘKNY i NIECZUŁY to Cocteau, dramaturg, poeta, malarz, reżyser. Poeci mam nadzieję wybaczą, że tytuł dramatu skojarzył się w moich wspomnieniach z Sierpniem prawie zawsze pięknym i słonecznym i prawie zawsze wieszczącym jakiś niepokój. Kiedy myślałem o wrześniowym felietonie, a WRZESIEŃ to już z tysiąca i jeden powodów brzmi, można by powiedzieć „grzmi” dwuznacznie – miałem prawdziwą gonitwę myśli, który tytuł jakiegoś krwawego dramatu dosadnie się skomponuje z groźnie brzmiącym miesiącem WRZESIEŃ, ale przecież piękne są wrzosy i wrzosowiska. Pamiętam mój Wrzesień 1942, w Mińsku Mazowieckim, szkoła powszechna na ulicy Dąbrówki, ołówek, zeszyt i kanapkę miałem w czerwonej walizeczce, edukację rozpocząłem od jedzenia i zostałem, słusznie zresztą ostro zbesztany.

Mam jeszcze dwa świadectwa z pierwszej i drugiej klasy, po polsku i po niemiecku, najlepszy byłem z religii i… ze śpiewu. O Matko! Edukowałem się i życia uczyłem w „elektryku” na trasie Mińsk – Warszawa sprzedając pestki od słonecznika. Sierpień 2019 był piękny, ale nieprzyzwoicie gorący i w noce, co to ani spać, ani czytać wymyślałem wrześniowe tytuły. To była znakomita terapia, okazało się, bowiem, że pomieszały się w mojej starej i mocno rozkojarzonej głowie miejsca, tytuły i zdarzenia, czyli mówiąc językiem śledczych „adresy, kontakty, telefony”. Bez pomocy smartfonów i innych podobnych elektronicznych fetyszy, ale grzebiąc w starych księgach i grzebiąc w mocno już nadwyrężonej pamięci odnalazłem wszystko, co mi się w mojej niepamięci zawieruszyło, i z czego, nie taję, jestem dumny.

A więc miało to być tak:

Nadciągający Pierwszy Dzień Września nie kojarzy się w mojej pamięci najlepiej i nie ma to nic wspólnego ze szkołą. Szkołę lubiłem, lecz nie lubiłem świętowania tej upiornej daty. Nie chcę oczywiście demonizować jakiejś traumy, okupacyjny dreszcz emocji to było „coś” dla smarkacza, ale pozostało zbyt dużo złych wspomnień, żeby akurat „to” świętować. Jednak ta data pobudzała moją wyobraźnię i wymyślałem różne skojarzenia makabrycznych tytułów czegokolwiek (kina, teatru, opery i literatury) z wojenną hekatombą. I zawsze tę „działalność artystyczną” uprawiałem w sierpniu i prawie zawsze piękny sierpień był zwiastunem jakiejś nawałnicy dziejowej – powiedziałby poeta. Zamiast snu w sierpniowe noce taka oto defilada tytułów, czyli umysłowy DANSE MACABRE – lecą one jak w kalejdoskopie. NAKARMIĆ KRUKI (Cria cuervos) po polsku i po hiszpańsku budzi grozę taki tytuł, Eliota MORD W KATEDRZE, będzie o nim za chwilę, a dalej? KTO SIĘ BOI WIRGII WOOLF, ARSZENNIK I STARE KORONKI, CZYŻ NIE DOBIJA SIĘ KONI, WINDĄ NA SZAFOT, KRWAWE GODY, DYMY NAD BIERKENAU, TRĄD W PAŁACU SPRAWIEDLIWOŚCI, LOCHY WATYKANU, tytuły literacko piękne, a jeszcze TRON WE KRWI, a jeszcze z innej bajki GRYPA SZALEJE W NAPRAWIE i poczciwy ŁYSEK Z POKŁADU IDY – wszystko to razem i wiele, wiele innych upiornych tytułów to sierpniowe żniwo. Proszę mi wierzyć, ja przecież niektórych filmów czy spektakli nie pamiętam, tylko ten ciąg tytułów wlecze się za mną przysłowiową smugą cienia. Teraz właśnie, przy „smudze cienia” wyskoczyło mi arcydzieło z wielkimi gwiazdami, CO SIĘ ZDARZYŁO BABY JANE – a przecież te tytuły mocno pobudzające wyobraźnię układają się w zupełnie inne obrazki niż to, co widywałem, czytałem i co zapamiętałem.

A przecież, mówiąc bardzo eufemistycznie z pamięcią zaczyna być odrobinę krucho, w tej sierpniowej ucieczce przed tytułami – demonami pogubiłem się zupełnie. A zbliża się pierwszy września i ma być tragicznie, no to trzeba pomyśleć o stanie wojennym. Jeden z tytułów wiódł mnie do Katedry Św. Jana, tyko, który?...

Pomyliłem dwa spektakle, obydwa widziałem, ale który przykleić do Katedry? Stan wojenny, wieczór, godzina policyjna, dziewiąta czy może dziesiąta nie pamiętam i nie chcę pamiętać, do domu daleko, wówczas na Wolską róg Ordona, tramwaj 26, ale co dawali w tej Katedrze – czy Trąd w pałacu…, czy Mord? Zanim dzieci i wnuki uruchomiły swoją wiedzę dyżurną, czyli amulety (według SŁOWNIKA Kopalińskiego to fetysze, maskotki, talizmany, BRAVO – tak trzymać droga młodzieży) odskoczyło mi w głowie to, co miało odskoczyć.

W stanie wojennym z panią Daną bywaliśmy tu i ówdzie, ale co zrozumiałe „na smutno”. 17 stycznia ruszyła OPERA, pognaliśmy na „HALKĘ” „ku pokrzepieniu serc”, na widowni zwiezione wojo, a w Katedrze było tak: To był piękny, niezwykły tajemniczy spektakl, nastrój napięcia, chyba też trwogi, nie pomnę, którego z wielkich aktorów, Holoubka, Zapasiewicza czy Łapickiego kojarzę na Ambonie. Piękne szaty liturgiczne, muzyka, zapach kadzideł, piękny, mądry tekst, no po prostu wielki, wstrząsający MAGNIFIKAT. Żeby te strzępy pamięci odtworzyć cały miesiąc zmagałem się z demonami. Sierpień był piękny, nieczuły i na finał

Nie ma ani mądrych słów, ani mądrych zachowań w obliczu takiej tragedii i dlatego z dala od zgiełku potrzeba wszystkim ciszy. Aniu, Tobie i Twoim Najbliższym serca, współczucia, ciszy i zadumy. To wszyscy my, Twoi Przyjaciele z Mody Polskiej. Reszta niech będzie milczeniem...

P.S. Felieton kończyłem 1 września 2019, zobaczymy, co Bogi dadzą i czas przyniesie, oby bywał czasem łaskawszy. 8 maja 1945 w dniu zakończenia wojny brakowało mi dziesięciu dni do skończenia dziesięciu lat. Wojnę przeżyłem intensywnie, pamiętam doskonale wszystkie jej odcienie. Kiedy słyszę, jakie głupoty o wojnie i jej skutkach opowiadają dużo młodsi ode mnie notable, część to tylko przez chwilę na świeczniku, to osiemdziesiąt lat po jej wybuchu to mnie normalnie moja antkowiacza krew zalewa. AMEN!!!

Marek Michalak

Droga do raju cz. 26

fot. B. Kucharek

Droga do raju?

Rok 1074 zapowiadał się dla OMB (Old Metropolitan Band) całkiem ciekawie.
W zespole pojawił się nowy muzyk grający na perkusji i śpiewający – Andrzej Zaucha, sic!
Mało kto wiedział, że perkusję ma w „małym palcu". Szybko zrobiliśmy z Andrzejem nowy repertuar, zaczęliśmy go ogrywać na licznych koncertach w Polsce. Pojawiły się również zaproszenia grania w RFN. Szczególnie jeden koncert wrył mi się w pamięć. Mieliśmy zagrać w legendarnym Jazz Clubie w Hannowerze. Do dzisiaj grają tam same sławy ze świata jazzu. Usłyszeliśmy od bossa klubu, że chce zarejestrować nasz koncert i wydać go w bardzo szanowanej firmie Deutche Grammophon. Propozycja raczej nie do odrzucenia.
I tak doszło do historycznego zarejestrowania możliwości wokalnych i na perkusji w jazzie przez Andrzeja. Nasze życie – jak w raju – niestety trwało jakieś pół roku. Któregoś dnia przyszedł na próbę do Rotundy z „flaszką" i oznajmił nam, że zatrudnił się w zespole grającym do „kotleta".
Szok! Twierdził, że tam ma pewny kontrakt na pół roku w niemieckich knajpach.
Powiedziałem mu, krzyż na drogę. Flaszkę opróżnij sobie z nowym zespołem.
Spakował perkusję i wyszedł z próby, zostawiając OMB w dyskomfortowej sytuacji. Tydzień później mieliśmy znów wyjechać na koncerty do Niemiec i Holandii. Był to czas wiz.
W tak krótkim czasie nie do ogarnięcia zdobycie wizy dla jakiegoś innego perkusisty.
Postanowiliśmy jechać bez bębniarza. Udało się zagrać całą trasę. Przez lata schodziliśmy sobie z drogi. Udawało się. Aż w końcu wpadliśmy na siebie w Niemczech, gdzie mieliśmy grać na jednej scenie na zmianę. Andrzej, już jako bardzo znany wokalista miał wystąpić z zespołem Jarka Śmietany a ja już z JBBO. Po koncercie bankiet. Nagle dosiada się do mnie, przeprasza za to co się stało przed 17-tu laty, że chciałby wyrwać tę „drzazgę" z pamięci. Powiedziałem mu , że już jej tam nie ma. Wyściskał mnie, wycałował. Potem przenieśliśmy się do hotelu gdzie leczyliśmy ranę po drzazdze do rana. Znowu byliśmy przyjaciółmi. Szkoda, że na tak krótko.
Za kilka tygodni 10 października 1991 roku jakiś zazdrosny żabojad pomógł Andrzejowi przenieść się na stałe do raju. Panie Boże, czemuś nam to uczynił ?

Okładka płyty

Lesław Pizło

O fotografii - 22

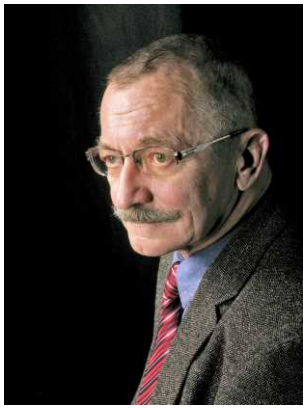

fot: B. Kańska - Bielak

O fotografii i obyczajach

Dzięki jednemu z naszych znakomitych kolegów miałem ostatnio okazje przeczytać (przyznaję, że z niejakim wysiłkiem) książeczkę pod tytułem „Fotografia i filozofia". Już sam tytuł mnie zaskoczył. Filozof, jak wiadomo nie tylko miłuje prawdę, ale jej poszukiwanie jest jego głównym zajęciem. Ba, powołaniem, sednem jego pracy. Ze swojej strony spieszę przestrzec wszystkich poszukiwaczy prawdy w fotografii, że czeka ich praca żmudna a osiągnięcie sukcesu będzie trudne.

W kilku ostatnich felietonikach zagadnienie prawdy w fotografii uporczywie powracało i za każdym razem wniosek był ten sam. Owszem, prawda czasem się pojawia , ale równie często padamy ofiarą oszustw, manipulacji i mistyfikacji uzyskanymi różnymi sposobami. Manipulacje obrazem można spotkać nawet w reportażu, który powinien przekazywać obiektywną rzeczywistość. Tu trzeba przypomnieć, że dyskusja o tym czy istnieje obiektywizm w fotografii toczy się od dawna. Najczęstszym wnioskiem jest stwierdzenie że nie ma czegoś takiego jak obiektywne oddanie rzeczywistości. Zdjęcie jest zawsze subiektywnym spojrzeniem autora na otoczenie. I nie mówię tu o jakichś specjalnych manipulacjach. Wystarczy małego sfotografować od dołu i bez skali porównawczej a będzie wysokim. I odwrotnie. Z rosłego mężczyzny zrobimy kurdupla odpowiednio go ujmując. Chwalimy wtedy fotografa za umiejętność wybrania korzystnego ujęcia, lub ganimy za brak tej wiedzy. Widziałem kiedyś zdjęcie grupowe przedstawiające jakichś dostojników, gdzie ustawiono niewielkiego wzrostem polityka z Europy środkowej obok Helmuta Kohla. Zestawienie wypadło humorystycznie i było wykorzystywane do tworzenia niewybrednych żartów.

Sytuacja zmieniła się diametralnie z chwilą upowszechnienia się fotografii cyfrowej i programów do obróbki zdjęć. Pewne elementy tych ostatnich są instalowane w fotoaparatach i telefonach. N.p. wystarczą dwa kliknięcia aby osobę fotografowaną „postarzyć" o 20 lat i rozpowszechnić taki wizerunek w sieci na cały świat. Bez trudu można wmontować dowolną osobę w niekorzystne towarzystwo lub kompromitującą sytuację i katastrofa gotowa. Obraz przemawia do wyobraźni silniej niż słowo, łatwiej i na dłużej się utrwala w pamięci. Owszem, istnieje obudowa prawna w tym zakresie, ale jak zawsze przepisy nie nadążają za życiem. Mamy prawnie zagwarantowane prawo do ochrony wizerunku ale niewiele z tego wynika. Szacuje się, że codziennie każdy z nas jest uwieczniony w jakiejś formie kilka lub kilkadziesiąt razy i to bez naszej wiedzy i zgody. I nie mamy nic do gadania jak taki zapis jest później wykorzystywany.

Nie tak dawno o własną podobiznę trzeba było zabiegać u malarza lub fotografa, a efekt ich pracy był cenną pamiątką pieczołowicie przechowywaną. Obdarowanie kogoś własnym

konterfektem, często ze stosowną dedykacją, było wyrazem szacunku, przywiązania a nawet miłości. Bywało pierwszym krokiem do oświadczyn. Dziś ten ładny obyczaj zaniknął. Własne podobizny traktujemy jak śmieci. Często kryterium oceny jest to czy zdjęcie jest „jajcarskie" (mówiąc językiem młodzieżowym), a nie czy ma jakieś walory estetyczne lub artystyczne.

Przechodząc do obyczaju, proponuję powrócić do zapomnianego zwyczaju, kiedy należało poprosić o pozwolenie zrobienia zdjęcia, nie mówiąc już o zgodzie na jego późniejsze wykorzystanie. W niektórych kręgach kulturowych (np. kraje arabskie) uchybienie temu niesie poważne a nawet bolesne konsekwencje. Szanujmy siebie, wizerunek własny i bliźnich.

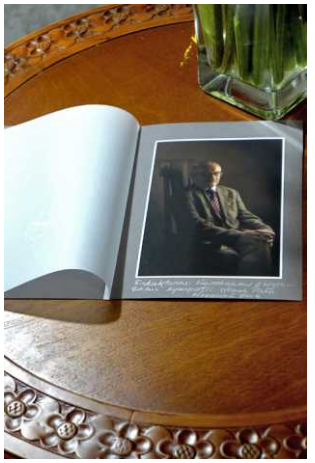

fot. autora

Poza ZVIS'em:

Wystawa fotografii przedstawiających Annę Szałapak - Krakowskie Forum Kultury - ul. Mikołajska 2

Ignacy S. Fiut

fot. A. Makuch

Nienawiść

Markowi Wawrzyńskiemu

przebiera się w różne
kostiumy bikini
zazdrości
i rozkoszy

podziwu nie przesypia
nawet w ciemnej nocy
każdego poranka ostrzy
kocie pazury
i ogląda świat w czarno -
białych kolorach
swój urojony głód emocji
zaspokaja potencjalnymi
ofiarami

Bliźniaczki

Dorocie Lorenowicz

to takie same
oblicza każdej
duszy
a imię ich:
miłość
i nienawiść
wspólnie się rodzą,
żyją i umierają
- takie prawo
Ducha i Natury

Z tomiku „Dusze” - Wydawnictwo Aureus - 2019

Adam Kawa

fot. B. Kucharek

XVI

Zgorzała Troja. Przetrwały przez wieki
pieśni wykute w heksametrów ogniu.
O ludzkim losie śpiewał Homer ślepy,
w melodii złączył los ludzi i bogów.

Otulał myśli metafory mrokiem,
nazwany ciemnym z Efezu Heraklit,
ogniem rozjaśniał swoją filozofię
jak nocne niebo spadające gwiazdy.

Do dawnej Grecji wiodą ścieżki wszystkie.
Na końcu drogi cień Nike bez skrzydeł.

XVII

Muzy ze zgrozy kamienieją milcząc.
Marsjasz ze skóry jest obdarty schludnie --
tak higieniczny może być bóg tylko.
Człowieka z bogiem tak kończy się turniej.

Drzewa jesienną przybierają szatę,
jelenie gubią swe nogi w ucieczce,
niedźwiedź chce zapaść w sen zimowy latem
i tylko źródło o wypadku szemrze.

Powoli w mitu przenikaj przesłanie.
Jest niebezpieczny z bogiem nawet taniec.

Paweł Leski

fot. autora

RYBA PIŁA

Pewna ryba piła
Do domu wróciła.
Późno - blisko rana.
Dość mocno zawiana.
Sporo ryba piła.

Glonem zakąsiła,
Płetwą zahaczyła
Coś, co spadło z mosta
Czy o wodorosta
Widać - ryba piła.

Sąsiadów zbudziła,
Kiedy zanuciła,
Że wszystkie, być może,
Rybki śpią w jeziorze.
Wiedzą - ryba piła.

Zmieni rymy chyba,
Głowa jej się chyba,
Osłabia witalność,
Rymów powtarzalność
Skoro piła ryba.

Wnet się położyła,
W ścianie wzrok utkwiła,
Rymy, choć banalne,
Znowu są normalne.
Chociaż ryba piła.

Z kacem się zbudziła,
Lekarstwa wypiła
Od bólu wątroby
I morskiej choroby,
Ryba, która piła.

Z tomiku „Ryba piła” - Wydawnictwo Psyhoskok - 2019

Sebastian Kudas

RYSUNKI

fot. archiwum

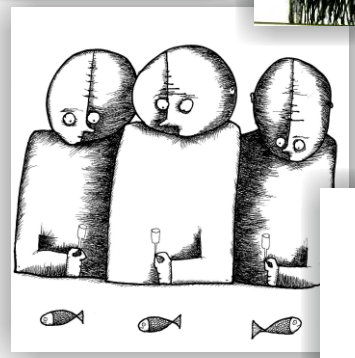

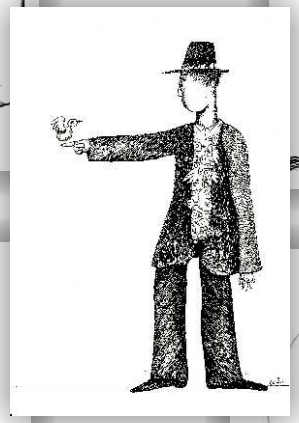

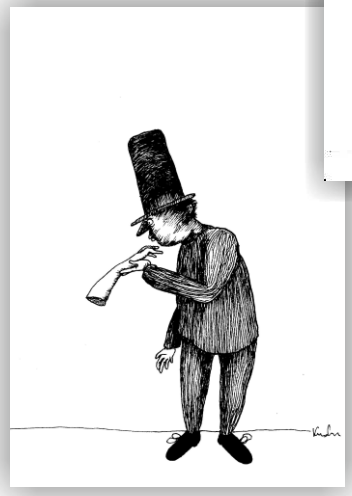

Rysunki pochodzą z książek: "Droga Pani Schubert" Ewy Lipskiej, "Mężczyzna i One" Jana Nowickiego, oraz magazynów "Przekrój" i "Bluszcz".

Roman Wysogląd

fot: B. Zimowski

„Z życia idiotów krakowskich, polskich i innych". (cz. 4)

1. 8 września br w jednym z programów Polskiego Radia o godz. 9.00. usłyszałem następującą wiadomość: :"Pan Prezydent miasta P. zwrócił się do Rady Miasta o wybudowanie „Parku Dzieł Niepotrzebnych" Koniec cytatu. Niestety redaktor który prawdopodobnie napisał tę notkę (pewnie po znanej Medialnej Szkole w Toruniu) nie dodał ani słowa więcj. Więc podchwytuję temat i zgłaszam jako obywatel miasta Krakowa prośbę do rady Miejskiej o przeznaczenie części Błoń na „Wystawę (nazwa do uzgodnienia) Przestrzeni Dzieł Niepotrzebnych". Problem moim zadaniem jest tylko jeden: ma dotyczyć dzieł i ich twórców już nieżyjących, czy jeszcze szlifujących (jako tako) bruki naszego miasteczka? Jestem całym sercem za tym drugim. Co to dla akurat sprawującej władzy za wspaniałe widowisko? Na przykład panowie Klata, Lupa, Zagajewski, Ewa Lipska, Stanisław Stabro w klatkach? (do uzgodnienia w jakich: drewnianych, szklanych czy pozłacanych. I czy publika o którą się nie ma co martwić ma prawo ich głaskać, szarpać czy o dziwo prawić komplementy? Tego ostatniego zabroniłbym kategorycznie. Nie na próżno władza która mój pomysł – jak znam życie – przegłosuje szybciej iż opróżnienie flaszki oranżady wyda miliony tylko po to, by twórcy (i ich dzieła) słyszeli komplementy. Niedopuszczalne. A kto będzie w komisji decydującej, kto ma w tych klatkach stanąć? Jak myślicie?

2. Po raz kolejny czytam *Dzienniki* Jana Lechonia i za każdym razem znajduję w nich nowe, fascynujące fakty potwierdzające szczególnego rodzaju szaleństwo poety. Z drugiej jednak strony jakże współczesny był to człowiek! I jaki wrażliwy! Dzisiaj o kimś takim można tylko pomarzyć.

Aż dziw bierze, iż poza kilkoma bardzo nieudanymi filmami krótkometrażowymi typu *gadające głowy* do dzisiaj nikt nie pokusił się o sfilmowanie jego biografii, ze szczególnym uwzględnieniem ostatnich lat życia w NJ. Ale do tego trzeba talentu, gdy nasi „reżyserzy" mają wyłącznie pomysły od razu na Oskara.

A tutaj należałoby się zmierzyć z cienką tkanką duszy poety uwikłanego w Polskę jak nikt inny z jego skamandryckich rówieśników, do tego na emigracji. I jeszcze naturalnie nie starać się pominąć homoseksualnych skłonności Serafinowicza, w dzisiejszych, groteskowych czasach traktowane, jako coś szalenie gorszącego i niegodnego prawdziwego Polaka.

3. Niedzieli nie lubię najbardziej ze wszystkich dni z całego tygodnia. Nadęci, znudzeni i wymięci ludzie, którzy marzą, by już był znowu poniedziałek, a najlepiej od razu środa, a najchętniej piątek.

4. Wczoraj śnił mi się Andrzej Warchał. Z tego wynika, iż obaj jeszcze żyjemy.

c. d. n.

Jan Güntner

LESZEK - opowieść o czasie przeszłym dokonanym

Część 4

Na samym początku zdarzyła się nam niezwykła przygoda: cała PWST została zaproszona do współpracy jako statyści do Teatru im. Słowackiego. Bronisław Dąbrowski, ówczesny dyrektor, przy współpracy reżyserskiej Lidii Zamków (scenografia Andrzej Stopka, kostiumy Karol Gajewski), przygotowywał przedstawienie Lubow Jarowaja Konstantego Treniewa, z oprawą muzyczną jako ogromne, panoramiczne widowisko historyczne o konspiracyjnych przygotowaniach do rewolucji. Dla nas, studentów to było coś w rodzaju „rozpoznania bojem" złożonego mechanizmu teatru; od podscenia, po garderoby na najwyższym piętrze, penetrowaliśmy nie tylko budynek, ale poznawaliśmy hierarchie i współzależności, całą złożoną strukturę zawodów teatralnych, ich funkcje i koryfeuszy, namacalnie, z bliska. Prawie całe nasze grono profesorskie brało udział w spektaklu. To była niełatwa praca (Dąbrowski był cholerykiem), płacono za próby i przedstawienia. Na tamte czasy dużo „własnych" pieniędzy (tytuł był grany a la longue ponad 100 razy z okładem).Tytułową rolę grała p. Zofia Jaroszewska z plejadą artystów T.Sł. (Jan Kurnakowicz, Marian Jastrzębski itd.), a z nami statystami, brało udział 120 osób. Premiera odbyła się w Krakowie 9 grudnia 1949 r. i wnet potem był wyjazd na gościnne występy w Warszawie. Recenzje, brawa, wielkie „hallo".

Nasi nauczyciele: Dzieliliśmy ich na „praktyków", „teoretyków" i „rzemiechów". „Praktycy" uczyli ściśle zawodowych rzeczy, mówienia wierszem i prozą, dykcji, elementarnych zadań aktorskich, dialogów i scen (Maria Bogurska, Halina Gryglaszewska, Lidia Zamków, Jerzy Ronard Bujański, Tadeusz Burnatowicz, Eugeniusz Fulde, Jerzy Kaliszewski, Józef Karbowski, Mieczysław Kotlarczyk, Władysław Krzemiński, Zdzisław Mrożewski, Wacław Nowakowski, Władysław Woźnik); indywidualności, autorytety o rozległym doświadczeniu, różnych wymaganiach. Zawsze szanowani, bo od nich zależał nasz studencki los, nasze „być albo nie być" i pozycja w przyszłym zawodzie.

„Teoretycy", dbali o wszechstronne wykształcenie ogólne w wielu dziedzinach: historii dramatu oraz teatru polskiego i europejskiego, fonetyki, muzykologii, kostiumologii i historii ubioru oraz przedmiotów ideologicznych i stricte politycznych. Wszystkich nas bez wyjątku obowiązywała dyscyplina studiów. Opuszczanie zajęć było niemożliwe. Wymagania były duże, trzeba było dużo czytać, korzystać z bibliotek. Liczni, byliśmy ZMP-owcami (chociaż o różnym „natężeniu ideolo", ale obowiązywała „jedność teorii i praktyki"). Notatki, konspekty, współpraca wzajemna podczas powtarzania materiału do kolokwiów, egzaminów. Strategia: trzeba było być aktywnym, nie podpaść i zaliczyć przynajmniej na tróję, Euzebiusz Balicki, Wiesław Górecki, Kazimierz Meyerhold, Adam Polewka, Zbigniew Reguła, Władysław Tęcza, to im zawdzięczaliśmy podstawy teoretyczne wprowadzenia w złożoność kosmosu teatru.

„Rzemiechy": tu nie było miejsca na żarty, choć czasem było dużo śmiechu. To przedmioty i ćwiczenia w odpowiednim oprzyrządowaniu, mające poprawić rozwój fizyczny, koordynację ruchową, sprawność, kondycję i... jednak nauczyć czegoś niezbędnego w zawodzie. Były to: rytmika (prof. Eleonora Bocheńska i Zofia Lubartowska); taniec klasyczny (prof. Jerzy Kapliński, choreograf i słynny tancerz); szermierka, (prof. Andrzej Sołtan, b. mistrz polski w szermierce i zawodowy trener w broniach szermierczych). Impostacja głosu i trening oddechu (prof. Maria Bieńkowska, śpiewaczka i pedagog w PWSM), śpiew i śpiew chóralny (prof. Andrzej Cwojdziński). Wszystko to wymagało wielkiego wysiłku fizycznego, niejednej kropli potu, przyspieszonego oddechu i tętna. Niektórzy, koleżanki i koledzy mieli trudności by im sprostać fizycznie.

Nasi Koleżanki i Koledzy: Kalina Jędrusik, Krystyna Jodłowska, Alicja Migulanka, Masza Możdżeń, Danuta Zaborowska, Halina Zaczek, Krystyna Zborowska, Zbigniew Cybulski, Stanisław Czaderski, Bohdan Czechak, Edward Dobrzański, Leszek Herdegen, Zygmunt Hobot, Tadeusz Jurasz, Bogumił Kobiela, Ryszard Kotas (Kotys), Ryszard Krzyżanowski, Leszek Mazurkiewicz, Jerzy Sagan, Tadeusz Śliwiak, Zygmunt Tadeusiak, Józef Zbiróg i niżej podpisany. Dwa lata wyżej od nas byli m.in. Ewa Lassek (Jarocka), Barbara Wittek (Swinarska), Lech Bijałd (b. więzień kacetu), Ryszard Zaorski i dwoje kolegów Blanka Malewicz oraz Leszek Szmaus, starało się o wyjazd do Izraela na stałe. Rok wyżej od nas studiowali Jurek Jarocki i Jerzy Goliński („Golo"), a niżej o rok Iza Olszewska, Wanda Swaryczewska, Barbara Wałkówna, Adela Zgrzybtowska (Smyk), Ferdynand Matysik, Witek Pyrkosz, Witek Tokarski; dwa lata niżej byli Zofia Kucówna, Kasia Mayer (Fulde) Jurek Grotowski („Grot"- ten słynny), Jaś Mayzel, mądrala z wielkim poczuciem humoru, postacie zapisane w serdecznej pamięci.

Z tego zestawu wynika, że była to zmiana pokoleniowa, a z czasem również jakościowa, która zdominowała nie tylko polską scenę i sztuki wizualne, ale zapisała się trwale w historii teatru polskiego. W latach naszych studiów ówczesne Ministerstwo Kultury i Sztuki każdego roku w ośrodkach podległych ministerstwu (Augustów, Jadwisin, Jagniątków Górny, Zaryte itp.) organizowało w doskonałych warunkach bytowych i wyżywieniowych miesięczne, bezpłatne obozy integracyjne dla studentów wyższych szkół aktorskich (Kraków, Łódź, Warszawa). Poznawaliśmy się wzajemnie, pod auspicjami kół naukowych, Wymienialiśmy doświadczenia, spędzali miło czas i zaprzyjaźniali się na cale życie. Leszek Herdegen objawił się jako niezwykły talent w całej działalności pedagogicznej PWST (obecnie Akademia Sztuk Teatralnych im St. Wyspiańskiego). To nie uroda, nie wielość własnych uzdolnień w różnych dziedzinach twórczych, nie wybitna inteligencja wsparta wytrwałą pracowitością, niezwykła barwa głębokiego głosu, sprawiły, że zapowiadała się zadziwiająca kariera, która stała się potem jego marką, znakiem firmowym. Blisko, jak na wyciągnięcie ręki. Jeszcze chwila i..., nie wiem... rozkwitnie, czy wybuchnie?

U podstaw jego talentu - nie waham się powiedzieć - było tragiczne doświadczenie straszliwej wojny, a jej piętno było obecne w całym naszym pokoleniu. Przeżycia, jak napisał Baczyński „szkło bolesne, obraz dni", legły zapisane lękami i koszmarami, w genach, w biologii Leszka, jak „dymiące łąki krwi" wszechobecnością śmierci rozrywającej na strzępy. W jakimś sensie, jak „Maciek" Zbyszka Cybulskiego w Popiele i diamencie, archetyp i produkt wojny, Herdegen pozostał w głębi duszy na zawsze w jej szponach. Powiedział w jakimś wywiadzie „Nie chcę ukrywać siebie za postacią, która odtwarzam. Występuję jako człowiek współczesny, który w różnych rolach, w różnych postaciach, chce przedstawić problemy i rozterki ważne także dziś".

c. d. n.

Ladislav Volko

Liścik z Bratysławy nr. 60

fot: N. Pazdej

I znów jesień przychodzi, tak pięknie wyśpiewana poetami, pieśniarzami. Chociażby *Leszkiem Długoszem* czy *Jerzym Harasymowiczem*, od którego śmierci upłynęło 21. sierpnia 20 lat. Również 20 lat upłynęło od śmierci świetnego prozaika i scenarzysty polskiego, *Władysława Terleckiego*. Obracał się (i pracował w redakcji) w kręgu *Współczesności.* Napisał sporo świetnych dzieł, w tym historcznych związanych tematycznie z Powstaniem Styczniowym – *Spisek, Dwie głowy ptaka, Powrót z carskiego sioła, Rośnie las, Lament...* O ostatnich dniach *Witkacego* jest jego nowela *Gwiazda Piołun (1968),* może trochę zapomniana. Sporo jego książek było tłumaczonych na różne języki, w tym słowacki. Lubił bywać na Słowacji zwłaszcza w związku z przekładami, które to realizowala *Miroslava Wlachovská*, niestety już nie żyjąca. Jej mąż, świetny tłumacz z węgierskiego *Karol Wlachovský*, był zarazem szefem wydawnictwa *Tatran*, gdzie książki *Terleckiego* i innych polskich pisarzy, wchodziły. Tam go właśnie poznałem i podczas mojego pobytu w Polsce spotykaliśmy się od czasu do czasu i były to dla mnie bardzo ciekawe chwile. Ale jesień, ma nie tylko wymiar nostalgiczny. Po letnim odpoczynku rozpoczyna się ruch w kulturze - wystawy, koncerty, premiery w teatrach, action, spotkania różnego rodzaju... Już w którymś liściku wspominałem że Bratysława ma mnóstwo galerii. W jednej z najlepszych, nie boję się powiedzieć, w Europie – *Danubiana Meulensteen art Museum*, która się mieści około 20 km od Bratysławy na półwyspie nad Dunajem,14-go września otwierał swoją wystawę mój przyjaciel *Viktor Hulík* z okazji jubileuszu 70 lat. Nazwa nieco matematyczna *Variability 74+460/28=70 VH* , bowiem autor jest świetnym przedstawicielem geometrycznej abstrakcji i nie tylko. Swój czas dzieli pomiędzy twórczość, prowadzenie własnej *Galerii Z* i galerii na wolnym powietrzu w bratysławskiej przestrzeni, parków, ulic i rynków, pod nazwą *Rzeźba i obiekt*, w tym roku 24 rocznik, z aktywnym udziałem artystów z całego świata, również Polaków. Bez aktywnego udziału swojej małżonki by napewno czegoś zabrakło. Syn jest znanym fotografikiem, filmowcem przede wszystkim natury a również podróżnikiem. Vernisaż odbył się 14-go września, w tym samym czasie, co nasz 2 rocznik *India festywalu*, który organizowała moja małżonka pod egidą ambasadora Indii i starostowej Starego Miasta Bratysławy w Pałacu Zyciego na starówce. Jak że inaczej, program wspaniały, ludzi mnóstwo. I było z czego wybierać: od wykładów, poprzez jogę, kuchnie, słuchania śpiewu i żywej muzyki, zakupów różnych pamiątek, tańców i workshopów, po wystawę naszych własnych indyjskich zaproszeń na ślub z kuratorską

prezentacją i historią powstania zbioru. Wystawa jedyna w swoim rodzaju pokazuje różnorodność zaproszeń, i artyzm wykonania. W programie *2.India festywalu* było również pokazanie dwóch oryginalnych bollyywodskich filmów w niedalekim kinie Mladosť. O jednej wystawie muszę jeszcze napisać. W *Carlton Savoy Art Gallery*, jak brzmi pełna nazwa galerii, w najstarszym hotelu, *Carlton*, w Bratysławie, w pobliżu *Słowackiego Teatru Narodowego* otwarto wystawę dwóch artystów sztuki naiwnej. Słowaka *Júliusa Považana* i Chorwata *Matija Skurjeniego.* Każdy po swojemu nas wprowadził w swój świat snów, wyobrażeń i realizmu, w którym przebywał, pracował, żył. Wystawa przypomniała, że Bratysława była kiedyś miejscem, gdzie się odbywało wielkie światowej sławy międzynarodowe trienale sztuki naiwnej INSITA. Grand Prix Insita 2007 otrzymała Justyna Matysiak (1979) z Polski. Jeszcze się odbył 9. rocznik INSITA 2010 i koniec kropka. Organizują INSITĘ w Humennym na wschodniej Słowacji, ale to już jest o czymś innym. W 2010 roku byłem członkiem jury na *I. Bienale sztuki naiwnej i art brut polsko – słowackiego pogranicza im. E. Sutora*, które organizował w Nowym Targu, ówczesny dyrektor *Euroregionu Tatry*, mój kolega ze studiów, Antoni Nowak.

Liścik nr. 60. Czas ucieka i nawet zapis go nie zatrzyma.

Galeria Vis á Vis:

„Małe Muzea - Wielkie Historie" prace Dirka Wewetzera

Andrzej Matusiak

MÓJ DAWNY KRAKÓW
MIASTO, LUDZIE, WYDARZENIA

na starej pocztówce i fotografii oraz wspomnieniach" (84)

Kościół Św. Floriana

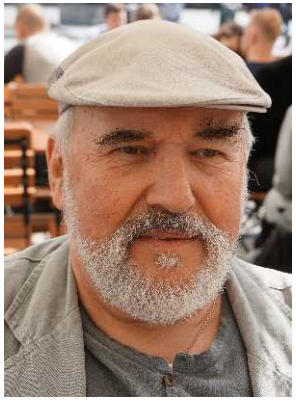

fot: B. Zimowski

Głównym szlakiem ***Starego Miasta*** – nie mówić *Starówka*, bo ta jest w Warszawie – jest ***Droga Królewska***, swoista krakowska *Via Regia*, którą codziennie przewalają się tłumy przechodniów, obecnie głównie turystów różnej maści. Ten najważniejszy trakt Krakowa, rozpoczyna się, nie tak jak sądzi wielu Krakowian od ***Barbakanu i Bramy Floriańskiej***, ale wcześniej od ***Kościoła św. Floriana*** na rogu obecnego ***Placu Matejki*** – kiedyś placu targowego samodzielnego od 1366 r. aż do 1791 r. miasta, początkowo zwanego ***Florencją***, a później ***Kleparzem.*** Następnie dopiero biegnie ***ul. Floriańską***, wschodnią stroną ***Rynku Głównego*** obok ***kościoła Mariackiego***, ***kościółka św. Wojciecha*** i dalej ***ul. Grodzką*** do samego ***Wawelu***. To tędy od położonego za miejskimi murami kościoła ***św. Floriana***, przez wieki uroczyście wjeżdżały orszaki władców, królów i książąt, dostojników cywilnych i du-chownych, ich kondukty pogrzebowe i wielkich zasłużonych Polaków, procesje i pochody z okazji różnych uroczystości, świąt, rocznic i ważnych wydarzeń. W średniowieczu, rangę kościoła zwłaszcza katedralnego i miasta, znacznie podnosiło posiadanie przez nie relikwii jakiegoś świętego, co czyniło je miejscami kultu świętych, licznie odwiedzanymi przez wiernych i pielgrzymów. W XII w. Katedra Wawelska i Kraków nie mogły się jednak pochwalić takimi relikwiami. Św. Stanisław biskup męczennik został kanonizowany dopiero później w 1253 r. Dlatego też, książę ***Kazimierz II Sprawiedliwy*** z biskupem krakowskim ***Gędką*** – nazywanym też ***Gedeonem*** – starali się u papieża o otrzymanie takowych relikwii. Uwieńczeniem tych starań było danie przez ***papieża Lucjusza III***, jak napisał ***Jan Długosz*** w swoich Rocznikach : *„ wspomnianemu księciu i katedrze krakowskiej ciało niezwykłego męczennika św. Floriana"*. Relikwie przywiózł do Krakowa w ***1184 roku*** kanonik Idzi, późniejszy biskup włoskiej Modeny. ***Święty Florian*** był rzymskim oficerem, podobno dowódcą oddziału gaśniczego, który za wyznawanie wiary chrześcijańskiej został w ***Lauriacum*** (obecnie Lorch w Austrii) zamęczony w 304 r. i utopiony z kamieniem młyńskim u szyi. Jest jednym z patronów Krakowa i Polski (Królestwa Polskiego od 1436 r.). Patronuje m.in. strażakom, kominiarzom, hutnikom, piekarzom, piwowarom i chroni przed ogniem, wojną, powodzią, nieurodzajem i burzą.

Jak głosi legenda, woły ciągnące wóz z kośćmi św. Floriana, zatrzymały się w miejscu gdzie obecnie stoi kościół pod jego wezwaniem i nie ruszyły się, aż nie zdecydowano o wybudowaniu tutaj świątyni. Kościół został ufundowany przez księcia Kazimierza II

Sprawiedliwego i od razu ustanowiony kolegiatą z patronatem książęcym, a następnie królewskim. Powstawał jako budowla romańska od ***1185 roku***, a w ***1212 r.*** konsekrował go biskup ***Wincenty Kadłubek***. W 1401 r. król Władysław Jagiełło patronat nad kolegiatą nadał też ***Akademii Krakowskiej***. Kapitułę kolegiacką zniesiono w ***1780 r.***, ale od ***2011 r.*** została ponownie przywrócona przez ***kard. Stanisława Dziwisza***. Romańska budowla kościoła była zniszczona przez Tatarów w 1241 i 1259 roku oraz w 1306 r. w czasie walk Władysława Łokietka z Czechami. W XIV w. kolegiatę przebudowano w stylu gotyckim z czworokątną wieżą. W ***1528 r.*** w czasie wielkiego ***pożaru Kleparza***, tylko kościół nie uległ całkowitemu spaleniu, przypisując to opiece św. Floriana, co zwiększyło jego kult. Niestety nie uchroniło to świątyni przed późniejszymi pożarami i dewastacjami. Szczególnie został zniszczony w czasie potopu szwedzkiego, po którym od 1657 do 1684 roku kościół całkowicie odbudowano jako budowlę barokową z wyróżniającą się fasadą z dwoma wieżami i bogatym barokowo – rokokowym wnętrzem. Na drugiej kondygnacji fasady ok. 1760 r. pojawiła się nisza w zwieńczeniu z herbem Akademii Krakowskiej i eksponująca figurę św. Floriana, widoczną do dzisiaj. Wprawdzie w XVIII w. też miały miejsce pożary i zniszczenia , ale prowadzone wówczas prace restauracyjne i następne od 1902 r. do 1914 r. oraz kontynuowane w latach 90. XX wieku, zasadniczo nie zmieniły barokowego wyglądu świątyni. Przez wieki od powstania kościoła, corocznie 4 maja, aż do lat międzywojennych XX w. *„Drogą Królewską"* szły procesje z relikwiami świętego, między katedrą wawelską a kościołem, podobnie jak procesje na Skałkę. W 1818 roku, to tutaj złożono 11 kwietnia trumnę z ciałem Tadeusza Kościuszki, sprowadzonym ze szwajcarskiej Solury, aby 22 czerwca uroczyście jego ciało pochować w katedrze na Wawelu. Wydaje się, że jednak opieka św. Floriana jest realna, gdyż chyba nie przypadkiem stało się, że przez wieki trwania kolegiaty, wyszło z niej wielu wybitnych uczonych mężów duchownych, biskupów, dostojników, teologów i profesorów. Znamiennym jest, że stąd wywodzi się Wielka ***Trójka Polskiego Kościoła***; pierwszy prymas Polski Mikołaj Trąba (1358 – 1422), pierwszy polski ***kardynał Zbigniew Oleśnicki (1389 – 1455)*** i w latach 1949 - 1951wikary tego kościoła ***Karol Wojtyła*** czyli polski ***papież Jan Paweł II (1920 – 2005)***,który w ***1999 roku*** wyniósł ***kościół p.w. św. Floriana*** do rangi ***bazyliki mniejszej.***

fot. autora

fot. autora

fot. autora

Koncert dla Piotra S.

„JEDNOMYŚLNOŚĆ TO NUDA”

13. 09. 2019 - Opera Krakowska

fot. A. Czapliński

Debiuty Poetyckie:

Stanisław Maczuga

Jesień

Pusto i smutno dokoła
prawie, nie widać zieleni.
Drzewa, spuściły ramiona
żałując, pięknej jesieni.

W nagich gałęziach, wiatr goni
mgła siwa nad lasem się, wznosi.
Chłód, smutek i szarość dookoła
zamilkły też, ptasie głosy.

fot. archiwum

Bieszczady

Tam, gdzie zniszczone domy rozmaite
w ostępach lasu, głęboko schowane.
Zostały z nich ruiny, głęboko ukryte
prawie już niewidoczne, na wieki schowane.

A dachy cerkwi, w zieleń otulone
są niemym świadkiem tego, co tutaj się działo.
I rzędy białych, bezimiennych grobów
bo tyle z czasów szaleństw, do dzisiaj zostało.

Dzisiaj, już Bieszczady uleczyły rany
znowu się odradza, zwykłe ludzkie życie.
Zostawmy w annałach, retorykę winnych
by pięknem przyrody, znowu zmysły sycić.

Trzeba słuchać i patrzeć, na walki rogaczy
widzieć jak stado dzików, przed wilkiem umyka.
Patrzeć na połoniny, słońcem wygłaskane
a pagórki i góry, lasami okryte.

Gazetka Vis a Vis:
Copyright reserved by Bogusław Kucharek.
Wszystkie materiały publikowane są za zgodą autorów

wstępniak: Andrzej Dyga
materiały: Bogusław Kucharek,
skład i współpraca: Bogdan Zimowski
korekta: Zbigniew Bajka
sekretarz redakcji: Magda Konopska

Kontakt: Półeczka Vis á Vis,
www.zvis.pl
www.visavis.altervista.org
vis a vis